Ner 12. Kraków, 24go Marca. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie . — » 50 » » »
Z Modami paryskiemi.
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redakcyi.

Z dniem pierwszego Kwietnia rozpocznie się nowe ćwierćrocze. Zapraszamy tedy do wczesnego zamawiania naszego pisma, abyśmy wiedzieli, ile egzemplarzy drukować, gdyż unikać musimy tworzenia zapasów, jako uszczuplającego i tak szczupłe fundusze redakcyi.

Do stałych łaskawych naszych Prenumerantek ponownie dołączamy prośbę, aby raczyły usiłowania nasze popierać zachęcaniem zacnych swoich Przyjaciółek i Znajomych do prenumerowania na **Niewiastę**, mając na względzie, że żadne peryodyczne pismo, bez silnego poparcia od czytającej Publiczności, nie może się należycie rozwinąć i dójść do potęgi, do jakiej dójść powinno, aby kraj z niego jak najwięcej miał korzyści. Nie śmielibyśmy tylekrotnie występować w sprawie własnej z usilną prośbą, gdyby na tem, aby pismo nasze miało znaczną liczbę Prenumerujących, samym Prenumerującym nie zależało tyle, co i Redakcyi, od której nikt sprawiedliwie i rozsądnie wymagać nie może wytężeń nad miarę możności.

O zaległości przypominamy i prosimy najusilniej o spieszne tychże uiszczenie. Listy zwrotne dołączamy.

ELŻBIETA MATKA KRÓLÓW.

Czytując pismo: „*Niewiasta*“ zdybuję się z monografiami królowych, które się lub zasługą wsławiły, lub namiętnościami osławiły na tronie polskim. Gdy tak, anuż czy nie skreślę żywota Niewiasty, która wprawdzie jest zagraniczną latoroślą dla polskiego narodu, ale tak się nam udała i nadała, że mimo krwie nie naszej, przejęła się zupełnie duchem szczero-polskim, polskością, i jest częścią nieoddzielną naszych wielkich i uwielbienia godnych Ojców Ojczyzny, owych Jagiellonów, którzy blisko dwa wieki dzierżyli berło nad narodem litewsko-rusko-polskim, i to z taką chwałą, tak świetnie i okazale, że za ich rządów Polska była jakby rajem szczęścia i swobody w pośród Europy i na całym świecie.

Pani ta była żoną Kazimierza Jagiellończyka; nazwano ją słusznie matką królów. Z wstępem starego Jagiełły w progi polskie, otworzyła się brama wielkości narodowej! Połączona krew Piastów i Jagiełłów w świętem małżeństwie z końcem XIVgo wieku, jesnito błogosławionem nasieniem, z którego wyrosło święte drzewo 7miu królów, biskupów i świętych, i tylu królewnych, które osiadły prawie na pierwszych tronach Europy i wszędzie zostawiły po sobie wzniosłe i rzewne pamiątki.

Otóż zamierzyłem powiedzieć cokolwiek o niewieście, której imię Elżbieta.

Za panowania Jagiellonów rok 1490—1515, koniec XVgo i początek XVIgo wieku był nader ważnym i stanowczym, bo władza polska sięgała od morza Czarnego aż po brzegi Bałtyku, a wpływ Polski mógł sięgać aż po Adryatyk i poniekąd nawet sięgał. Cała prawie Słowiańszczyzna z Węgrami hołdowała ich berłu potężnemu. Królowie na kilku tronach świetnych, byli to synowie i dzieci jednej i tej samej matki Elżbiety! Wielka to matka, co takich synów wychowała— to słowo *matka* jako zidealizowanie opieki i miłości, należy się w całem znaczeniu tej Elżbiecie; boć nie dość dać dziecku życie ziemskie, ale należy w niem wyrobić życie nadziemskie, należy dziecię wychować na zupełnego człowieka!

Najstarszy jej syn Władzio, to nazbyt dobrotliwe

światłe i sprawiedliwe królewiątko, jak je kronikarze opisują, nosił koronę na swej głowie całych Węgier i Czech, a wtedy ta korona coś więcej znaczyła na wadze Europy, niż w tych naszych czasach. Znowu Jaś Olbracht, ten pieszczoszek największy matki, potem Oleś i Zygmuś, to trzej królowie naszych szczęśliwych ojców, a Zygmuś ma na czole wieniec, nito znamię złotego wieku naszej Ojczyzny, boć pod jego 40-letniem panowaniem była Polska wielką, cieszyła się złotym czasem, dla literatury i przewagą polityczną. Ale i niebo dostało także jednego świętego z Jagiellońskiej kolebki, boć oto Kazio, ów wątły młodzieniaszek, a potulny i skromny nad zwykłą u ludzi miarę, został policzony w poczet Cherubinów i Serafinów, a znowu Frydruś został, który wie o tem, że sam Bóg jest nad nim starszym, purpurą kardynalską przyozdobiony! A cóż powiemy o innych dzieciach, które nie wyszły na widownię dziejową, ale w zaciszu domowem kwitły cnotami, jakby skromne fiołki, boć podobno obdarzyło niebo matkę Elżbietę aż dwanaściorgiem dzieci, jakby wedle liczby 12 pokoleń Israela wybranego, albo 12 apostołów Zbawiciela naszego? Otóż ta cała chwała niebieska i ziemska, jaka się dostała w udziale tym królewiczom i królewnym, była dziełem jednej niewiasty, jednej matki, jednego serca wielkiego i opiekuńczych rąk. Patrzcie Polki, co to zrobić może jedna matka prawdziwa? Sam królojciec był wprawdzie wojownikiem, ale mało dbałym o domowe sprawy. To małżeństwo jest typem i wzorem, bo ojciec zajęty sprawami kraju, a matka niczem innem, jeno domem i dziatwą. To też cisnęły się ludy pod berło króla dobrego; Polska potężniała upadkiem Krzyżaków przewrotnych i nabytkiem kraju, a dom królewski wydawał królów zacnych dla sąsiadów. Elżbieta to niewiasta „świątobliwa“ tak ją nazywali sami Polacy, których wyprawiła ta matka do Czech i Węgier, aby najstarszego syna Władzia posunąć na tron; to też ci posłowie mówili:

„Syn z mlekiem macierzy wyssał bojaźń bożą, religijność, miłosierność i ludzkość.“

Te słowa kronikarza Gołębiowskiego są dla tej matki pomnikiem trwalszym od marmurowego, i świadczą, na czem to polegało dawne wychowanie! A biskup i kronikarz Kromer odezwał się na pogrzebie króla Zygmunta Starego, że tylko matce tj. Elżbiecie winni byli król i inni swoje święte i mądre wychowanie. Zawsze też chwała dzieci otacza skronie matki promienistem złotem kołem i zapytać wolno, czy są niewiasty wielkie zkądinąd, gdy nie wychowały dobrze dziatek. Cnoty Jagiellończyków były dziełem matki Elżbiety. Że Władzio był dobrotliwym, sprawiedliwym, że Zygmuś był statecznym i rozumnym, że Kazio był potulnym, cichym i świętym, że Jaś Olbracht był śmiałym, rycerskim, a Oleś i Frydruś odznaczali się powagą i statecznością, to matki tej jest zasługą, to dziełem jej opieki, troskliwości i miłości jej rzetelnie macierzyńskiej. Ta matka zlała na Polskę tyle chwały i zacności przez dzieci, że tamtoczesne ludy chciały je mieć na tronach, i można powiedzieć, że ona jest tem ogniwem silnem, które nas wiąże z Jagiellonów panowaniem po wszystkie wieki, że jest tym pniem wiecznie żywym, dla którego Jagiellonowie stali nam się tak miłymi i świętymi, podobnie równie a może bardziej jak heroiezni Piastowie. Boć tylko Polska jedna była tak ubłogosławioną od Boga, że dwa po sobie następujące szczepy królów w przeciągu 7iu wieków wydały jakich trzydziestu królów, którzy olśnili kraj cały światłością swego rozumu, a znowu dobrocią serca zamienili go w przedsionek nieba i tak się głęboko wryli w ducha narodu, że naród spogląda na nich z łzawem okiem i widzi w nich wzory ukończone.

Elżbieta nie była Polką—była córą cesarza Albrechta IIgo, a matka jej Elżbieta pochodziła z Lusenburgów, którzy po wygaśnięciu Przemysławców, dostali się na tron czeski, a po krótkim pobycie na ziemskiej wysokości, zeszli do grobu więcej znikczemnieniem niż zrządzeniem losu. Od matki swej nie wiele odebrała co do swego wychowania, bo choć jej ojciec, cesarz Albrecht był szlachetnym i dobrym monarchą w Europie po tamte czasy, to nie wpłynął na żywot przyszły swej córki, bo ją trzechletnią zostawił sierotą. Matka wdowa nie mogła z całej troskliwości poświęcić córeczce Elżbiecie, gdyż w pół roku po zgonie ces. Albrechta powiła syna Władysława, nazwanego dla tego Pogrobowcem. Były więc dwie sierotki drobne, a ledwo miał Władysław 2 lat, a nasza Elżbieta 5 lat, to im matka umarła, a te dwie sieroty poszły pod opiekę Fryderyka IIIgo cesarza i chowały się to w Wiedniu, to Neusztadzie. Otóż nasza Elżbieta, to dziecię niedoli, zaraz od kolebki przeszła szkołę biedy i doświadczeń różnych i to na jej duszę tak zbawiennie wpłynęło, że z niej uczyniło zacną niewiastę i najzacniejszą z matek! Mówi nam historya, że ces. Fryderyk III był łagodnym opiekunem, ale zatrudniony rządami, mało dozierał sierót, nie wiedział jak im płynęło życie, nie wiedział, czy im nie brakło czego, tak, że sierota nasza żyła w niedostatku i zaniedbaniu. I nie dziwić się temu, bo gdzie nie ma matki, tam los dziatek opłakany. . , zwykle lub najczęściej.

Niedostatek naszej sieroty miał być taki, że aż ściągnął na się uwagę ludu wiedeńskiego, który pamiętny na nieboszczyka ojca, ujął się serdecznie za sierotą, wprowadził ją tłumnie i gwarno do jednego kościoła, a jeden pokazał ją ludowi, i tak opowiedział serdecznie biedę i zaniedbanie sieroty naszej, że aż się trzęsła świątynia od płaczu; przyczem i nasza sierota miała rzewnie płakać. O tem wspomina sam sławny sekretarz cesarski Eneasz Silviusz, później papież Pius II. Miała potem nasza sierota wychowanie podług pewnej metody, i tak się chowała aż do 15 roku pod

okiem opiekuna swego, gdzie prosta strawa była jej dziennem pożywieniem, a ubiór więcej szorstki niż niewieści, więcej z potrzeby niż zbytku, był na święto i inne dni jednaki. Brat Władzio został królem Węgier, a nasza sierota zapomniana od swoich, znalazła dla siebie serce miłości w królewiczu polskim Kazimierzu Jagiellończyku, który przez swoję stałość doprowadził do tego, że mimo innych współzawodników o rękę naszej sieroty, ożenił się w końcu po różnych zawodach i próbach— boć to nasz Jagiellończyk starał się o rękę naszej sieroty, gdy się ledwo narodziła, a choć go ni z tem ni z owem odprawiano, on ciągle się starał, i dopiero po 15 latach wyczekiwania bolesnego i trwałego, gdy po śmierci brata pod Warną pożytej, został królem polskim, i gdy sierota poszła pod opiekę osławionych hrabiów z Cyllei a spokrewnionych z Polską przez sierotę z Piastów wydaną za samego Jagiełłę, dopiero wtedy nasz Jagiellończyk został uszczęśliwiony pozyskaniem ręki i serca naszej sieroty, a małżeństwo to błogosławione dla całej Polski, pobłogosławił święty Jan Kapistran, który przybył do Polski z Włoch dla zaprowadzania zakonu Reformatów.—Elżbieta przybyła z Styryi do Krakowa, jako królowa Polska a jej przyjęcie było nader świetne. Małżonek młody nasz Kazio Jagiellończyk liczył wtedy lat 27, w pełni życia i kwiecie, młodości i czerstwości, wystąpił też po zwyczaju po rycersku, aby się tem więcej przypodobać młodej małżonce, która tyle lat marudziła, i tyle wytrwałości i różnych poświęceń odeń wymagała, nim mu na ostatku swoją rękę oddała. Wystąpił też cały dwór, na czele którego królewicz małżonek jako rycerz tak ustrojony, jak go opisali Elżbiecie jej posłowie wysłani umyślnie do Krakowa z Wiednia dla zbadania jego charakteru. A piszą kronikarze, że wjazd jej do Polski tak był świetny i tak miłe wrażenia robiły polskie kraje na nią, że ona sądziła, iż do raju jakiego przybywa. Polski prymas i kardynał Oleśnicki był przytomny z duchowieństwem licznem przy ślubnym obrzędzie. Wesele trwało 10 dni śród turniejów i zabaw, a goście z Wiednia, Węgier i Czech zapełniali komnaty króla. Elżbieta młoda nie zawiodła się na królewiczu rycerskim, bo znalazła w nim przymioty duszy i serca jej cnotom i przymiotom niewieścim. Jej pożycie było najszczęśliwsze, Kazio kochał ją gorącą miłością, jak mówi kronika, i był też wzajemnie kochanym.

Małopolska wyglądała wtedy jakby dziewica, ustrojona całą ozdobą przyrody, lasy szumiały, rzeki się srebrzyły, zamki połyskiwały śród gór i lasów, a lud wydawał się trochę rubasznym, lecz pod jego prostaczą szatą biło serce poczciwe i gotowe do wzniosłych uniesień, a umysł łaknął oświaty, postępu i swobody. I było ci tam w nowej akademii Jagiellońskiej tyle młodzi polskiej na naukach, że jej Kraków nie mógł pomieścić, a słowa Marcina z Olkusza, astronoma i lekarza brzmiały na dworze węgierskim i w Krakowie, a znowu kanonik krakowski Długosz opisywał dzieje poprzednich Piastów i Jagiellonów, a Jan z Głogowy wykładał filozofią, a Brudzewski astronomią, a damy tamtoczesne tak się zapalały nauką, że się aż po męzku przebierały, i z domów się wykradały, aby mogły się przysłuchiwać wykładom naukowym w akademii.

Elżbieta sama podniecała naród do nauk, jako świała i cnotliwa królowa, a najwięcej przyświecała narodowi przykładami domowemi, t. j swojem życiem i wychowaniem dziatek, do czego się małżonek nic nie mieszał, chyba aby ukarać, zganić lub pochwalić dziatki. To też królewicze młodzi ubrani w kożuszki, żywili się prostą i zdrową strawą, i taki przykład prostoty życia szedł z dworu królewskiego do pobliskich dworów pańskich, a ztąd rozchodził się na cały naród.

(C. d. n.)

Symfonia życia.

(Dokończenie.)

Bo świat zdradziecki, obłudny i tępy!
Zazdrość, nienawiść, jak zgłodniałe sępy
Czychają na łupy —
Na kęs tej skorupy!
Jakby tygrysie karmiło ich mleko
Ostrzem języka i miecza się sieką,
Pastwiąc się jeszcze zbroczonemi trupy.

Patrz! z grubych murów za kratą ktoś miga,
Wychudły, wyżółkły, aż serce się wzdryga.
Ręce jak pręty;
W twarzy wyschniętej
Kość naga wnet skórę do wierzchu przebodzie;
Wzrok łyska jak miesiąc grudniowy po lodzie:
Ach! to jest więzień skazany, wyklęty!

Znałem ja jego lepszemi laty,
Jakże się zmienił z za gęstej kraty!
Toż ten ochotny,
Wesoły, psotny,
Żywy młodzieniec, któregom z izdebki
Rodzinnej prowadził od samej kolebki
Aż po ten straszny kres i sromotny?!

I cóż przewinił? wszak byłem świadkiem;
Upadał często; lecz z każdym upadkiem
Jak dziecię ziemi
Z siłami nowemi
Wstając, odpierał zastępów napady,
Gromił namiętność i w zacne ślady
Z chęciami kroczył nieugiętemi.

Więc często go podły wyszydzał oszczerca:
Patrzcie! uczony!... lub lżył go: bluźnierca!
On prawdy szukał
On u wrót pukał
Wiary—rozumu w nocy i co dzień.
A teraz mówią: to sprośny zbrodzień,
Za to że kochał swój naród od serca!

Lecz na cóż bolesną rozraniać bliznę?
Na cóż po kropli wychylać truciznę?
Łzę po łzie rosić?
Gdy trudno ochronić
Od zguby pewnej—to napisz: Już zginął! —
Nie! jeszcze koniec wyroczni nie minął,
A ja tę scenę muszę zasłonić.

Dziesięć i więcej ubywa lat potem
Milion i więcej zmian czasu zwrotem: —
Otóż przy chatce
Naddrożnej — w klatce
Na palu wbitej szczebiocą wabiki
Wołając braci w zdradliwe wniki —
A we drzwiach czatują dziatki przy matce.

Jawór i śliwa i jarzębina
Bezlistna się chwieje, mróz wody ścina,
Śnieg wszystko bieli,
W tej czystej pościeli
Ale śmiertelnej, natura złożona.
Słońce jak lampa we głowach kona;
Wieczór nadciąga zimowej niedzieli.

Przez okno patrzy szanowny starzec
By gołąb siwy. Starości marzec
Doń zawieruszył
Włos mu przypruszył,
I raz ostatni posypał mu kwiaty
Po każdej szybie; — (kwiat lodowaty!)
I łzy mu dawne wyziembił, osuszył.

„Cyt! czy tam bębnią? co dudni dworem?“
Nie! to wiatr dunął sosnowym borem!
„Cyt! bębnią!“ — to ręką
Bił na okienko
Nasz Juzio marsza! — „Słuchaj mój synku!
Znów bębni!“— Nie! nie! to w małym kominku
Wiater blaszane podnosi denko —
Tu starzec zdumiał— w takt ruszył rękę
I cicho dawną zanucił piosenkę:

„Mówił ojciec do swej Basi,
Mówił zapłakany:
Wyjdźno, popatrz, ponoś nasi
Biją w tarabany!
Marsz,—marsz!.. i nagle w śnieżytej zamieci
Jeden i drugi zbrojny jeździec leci.

To nasi! Boże—to oni,— to oni
Orzeł już leci przy bratniej pogoni.
Trąbią trębacze,
Cały huf skacze.
Na odgłos naszej ojczystej pieśni
Sztandary wieją, i z długiej pleśni
Kord lśni dobyty; a starzec płacze...

Płacze z radości. O! jakże szczęśliwy!
Nie darmo raz widział niebiańskie niwy...
Choć zniósł klęsk tyle
I cierpień tyle,
Raz przed swym bliskim oglądać zgonem
Wolność wschodzącą nad krajem zbiedzonym,
O! nad wieczność przenosi tę chwilę!!

Więc żegnaj świecie! — rozstanie się zbliża;
Już miarka coraz i coraz się zniża.
Jak w pustelnika
Ręku pomyka,
Przy modłach ziarno rożańca za ziarnem,
Dnie swe przesilił na pasmie czarnem,
Teraz dłoń sięga ostatek — krzyża.

Na dzieło skończone lud glinę sypie —
Po „Dies irae“ wesołą na stypie
Pieśń usłyszycie:
Żal mieszka skrycie —
O dalszej kolei któż wam opowie?
Grób jak punkt leży po dzieła osnowie —
Napisem: życie! — i cóż jest to życie???

27 8bra 1835 r.

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

II.

In articulo mortis.

Jak w Dioramie zmieniło się nagle widzenie moje. I ujrzałem pokój zaciemniony tak bardzo, że niektóre tylko główniejsze zarysy występowały z cieniów fantastycznemi kształtami. I równie było cicho jak ciemno w pokoju; czasem tylko zdało się, jakby się przemykały jakieś cienie — nito jaśniejsze światła smugi; i ozwały się niewyraźne szepty godnie wtórujące całemu temu zamglonemu obrazowi.

I to wrażenie jakiejś mglistej, niewyraźnej niepewności, zdało mi się wciskać w serce coraz mocniej aż mi się duszno w piersiach zrobiło —duszno i smu-

tno. Może to było przeczucie smutnej sceny, która mi się pojawić miała w tem fantastycznem widzeniu szczególnego rodzaju.

Pomału wydatniejszemi wystawały szczegóły zaciemnionego pokoju; oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Jaśniejszy blask padł od lampy w kącie stojącej, parawanikiem małym osłonionej. Ujrzałem nagle i zadrżałem!.. Trup ci to leży na swym katafalku, wyciągnięty sztywny, nieruchomy?.. Mimowolnie rękę podniosłem do czoła by się przeżegnać, gdy to ciało przeciągnięte nieruchome zadrgało lekkim ruchem, i ten szept, który słyszeć mi się zdało dobiegł wyraźniejszy do ucha mego — jakimś jękiem, bolesnem westchnieniem!.

I choć ciemno było, rozjaśniło mi się w myśli, i przez nowy zwrot tego widzenia mego, zrozumiałem od razu tę scenę żałobną, której miałem być świadkiem. Zrozumiałem nawet tę duszność, która coraz więcej przyciskała mi piersi.

To było łoże boleści, może łoże śmiertelne niebezpiecznie chorego. Smutno mi się w sercu zrobiło, gdy obejrzałem się po sprzętach dosyć obszernego pokoju porozstawionych w jakimś nieładzie, który rzadko zdybać można w pokoju chorego, gdzie zwykle wszystko przybiera porządek systematyczny. W nieładzie tym znać było to pierwsze wielkie wstrząśnienie, jakie wniosła wpadając nagle — śmierć może — na skrzydłach ciężkiej, niespodziewanej choroby.

Przy biórze książkami i papierami zapełnionym, stało krzesło jeszcze, nagłym jeno ruchem odwrócone, jakby tylko co wstał od pracy pan tego pomieszkania. Na białym papierze czerniały litery ledwie wyschłe z świecącego atramentu — a ostatnia przeciągnięta w jakiś arabesk dziwaczny rozrzucona, świadczyła najdowodniej o nagłem przerwaniu spokojnej pracy. Snać pióro wyleciało niespodzianie z ręki piszącego, bo się ostrzem swym wbiło w podłogę. Tuż koło niego leżał cybuch, który się musiał wymknąć z ust swego pana; cybuch może jego ulubiony padając, rozleciał się jakby łzami, kawałkami rozpękniętego bursztynu. Książka otwarta wyszczerzała się czarnemi szeregami słów drukowanych, z których jedno ostatnie przemknęło jeszcze przez myśl uciekającą pod naciskiem nagłej choroby.

Spojrzałem na chorego, którego przed chwilą za trupa miałem. Jest w nim jeszcze życie, i to życie chwilami wybucha dziwną energią z oczów, które zda się najwięcej zachowały siły żywotnej. O ile osądzić mogłem z niewyraźnych zarysów, był to już mężczyzna nie młody, o głowie osiwiałej i wyłysiałej, twarzy tak odznaczonej i wyrazistej, że się dziś jeszcze mimo wieku spóźnionego przystojną wydaćby mogła.

Domyślałem się od razu, że to ów kapitan, o którym w pierwszem widzeniu mojem słyszałem mówiącą piękną rzeźbiarkę. Słusznie o nim mówiła, jako o człowieku zdolnym jeszcze, silnych uczuć, bo ta trocha życia co jeszcze drgało na jego rysach, i mianowicie w oczach napiętnowane było, tą sympatyczną władzą uczuciową, która w śmiertelnem nawet zastygnieniu opromienia swe twarze uprzywilejowane dziwnym urokiem. Patrząc na nie po śmierci nawet, zda się prawdziwie, że w posąg mistrzowskiego dłuta skamieniała ostatnia myśl głęboka, ostatnie uczucie pełne i czyste, a tak rzewne, że mimowolnie patrzący chce odgadnąć smutne myśli i koleje człowieka, który miał serce i sercem żył.

Pomału całą uwagę moją zatopiłem w owym najżywotniejszym wyrazie oczów. Dziwnie jakoś patrzały te oczy przed siebie. Chwilami zdawały się mdleć pod naciskiem czy ciężkiej i bolesnej myśli, czy ciężkiej i bolesnej choroby. I wówczas tylko widome były na jego twarzy ślady ciężkiej i śmiertelnej choroby. Lecz częściej daleko dobywały się z oczów wielkich i jasnych silne promienie życia w całej pełni chaotycznej myśli i czucia, które strzelały z nich raz po razu. I wówczas zdało się, że w chorym jest jeszcze silnym i pałącym się żarem zapełnione ognisko życia. Wtenczas i twarz się ożywiała, i usta zadrgały jakby do śmiechu lub westchnienia, i nie było zda się najmniejszego śladu ciężkiej słabości.

Co przeważało w wyrazie tych oczów, trudno było od razu zrozumieć. Lecz gdy patrzały przed siebie, nie było ani na chwilę tego rozpaczliwego nieco rozstrojenia, które przychodzi zwykle w ostatniej chwili doczesnego odczarowania. I owszem było w nich całe namiętnościami wrzące życie. Tam nie było żadnej obawy; była może niepewność, ale i nadzieja razem. Dopiero lepiej wpatrzywszy się, dostrzegłem przecie jeden silnie przemagający odcień tego wyrazu. Oczy chorego błądząc przez chwilę po całym pokoju, zwracały się uporczywie ku drzwiom wchodowym. I wówczas przeważała niecierpliwość tak namiętna, że wątpię, by w pełni życia jakiekolwiek oczekiwanie tak się silnie odbić mogło.

Zrozumiałem ten wyraz, przypomniawszy sobie z pierwszej zmiany mego widzenia scenę w pokoju pięknej Madeliny, i wiadomość podaną przez służącą o śmiertelnej słabości kapitana. Więc on czeka na Madelinę. Jakże silnem musiało być to jego przywiązanie do pięknej rzeźbiarki, w pełnem zdrowia i życia używaniu, jeżeli teraz jeszcze w ostatniej może już chwili co go dzieli od wieczności, może się ozwać takim zapałem.

Niecierpliwość spojrzeń jego wzmagała się co chwila. Czasem tylko przelotnym rzucił wzrokiem w jeden kąt pokoju, z którego już od pewnego czasu dochodził mnie jakiś szept głośniejszy i uparty. Wpatrzyłem się w ten kąt, i ujrzałem tam niedaleko drzwi wchodowych dwóch mężczyzn z sobą rozmawiających nietylko słowami, ale i ruchami tak przesadnie wyrazistemi, że aż w śmieszność wpadały. Nie trzeba się długo było w nich wpatrywać, by poznać od razu, że to eskulapy przedstawiciele tej sztuki lekarskiej,

która powinnaby być najdobroczynniejszą sztuką— sztuką zbawienia!.. gdyby nie brudny interes i zobojętnienie jej wykonawców, którzy robią z niej dla chorych sztukę męczenia i często zabijania, a dla siebie rodzaj korzystnego waloru, w którym choroba jest ogólnym kapitałem, a każdy chory przedstawia większą czy mniejszą lichwę z kapitału wyzyskiwaną.

Spojrzenia chorego gdy padały na obu eskulapów, były pełne drwiącej pogardy. A nawet nie wiem, czy to było złudzenie optyczne; zdało mi się widzieć w tym szydzącym wzroku jakby odcień wesołości.

W rzeczy samej i postawy obu tych lekarzy i ich ruchy coraz zawziętsze i gwałtowniejsze miały cechę tak komiczną, że mimowoli przez długą chwilę, całą moją na nich zwróciłem uwagę. Niewiem czy kto miał sposobność zauważać to, ale zawsze prawie uderzała mnie ta sprzeczność łoża konającego, i tej konsyliowej narady lekarskiej nad przyszłym nieboszczykiem, któremu ci panowie patentowani nic już pomódz nie mogą, a przecież kłócą się między sobą o lepsze zrozumienie choroby, czyli raczej o dogodzenie miłości własnej — i nieraz nad jedną receptą od której zależeć może jeżeli nie zupełne uzdrowienie, to przynajmniej wielka dla chorego ulga, kłócić się będą do upadłego, niezważając na to, że chory tymczasem umrzeć może, i nieraz zgodę panów lekarzy przypieczętuje ostatniem tchnieniem swojem.

Tak samo działo się i tym razem. Panowie eskulapowie widocznie się kłócili, i że w zgodzie być nie mogli, to już zdawała się dowodzić powierzchowność obu w najdziwniejszem zostająca przeciwieństwie. Jeden z nich był długi i chudy, z małą główką, podobniuteńki do bilardowego kija, któremuby na końcu wpakowano makówkę. Odznaczały się na niej tylko włosy bujne wielkie, ogromnie rozczochrane, co miało oznaczać nieład artystowski. I jak na głowie, tak i w reszcie ubrania był zaniedbany, naśladując widocznie tak w tem, jak i w ruchach tę małodbałość roztrzepaną i rozerwaną, właściwą wielu artystom. Drugi za to był malutki i cały jednostajnie gruby, z głową ogromną i łysą, twarzą pyzatą bez szyi zupełnie i na krótkich nogach. Podobniuteńki był zupełnie do grubej baryły z ustawioną na wierzchu dynią. Ale za to nad wszelki wyraz był o siebie staranny. Ubrany przesadnie i wytwornie wyglądał na karykaturę wykrzywiającą się żurnalowi mód.

— Mój panie Pigułkowski!. ja panu zaręczam, że to jest rodzaj apoplektycznego nerwowego napadu; rodzaj bardzo rzadki i ciekawy, nad którym ja głębokie robiłem studia, czerpiąc w ojcach wielkiej sztuki medycznej— mówił jeden.

— A ja panu powiadam panie Lancetowski, że to jest casus anewryzmu sercowego, o którym prócz mnie nikt pewnych nie ma wiadomości— mówił drugi.

A obydwa mówiąc to do siebie mierzyli się spojrzeniami pogardliwemi.

— Jakże kolega uważa ten casus?..

— A kolega dobrodziej?.. pytali się nawzajem, a jeden z drugiego drwił najwyraźniej.

— Kolega dobrodziej starszy, niech raczy mnie oświecić.

— Ale kolega ma więcej doświadczenia; od niego ku mnie pierwsze światło uderzyć powinno.

I oblizali się oba po tej zdradliwej grzeczności. Ledwiebym nie przysiągł, że oba mieli wielką ochotę pokazać sobie języki.

— Zresztą to jest jasne!..

— Jak słońce!..

— Że....

— A tak, że...

— Cóż trzeba robić?..

— Użyć środków!..

— Kolega dobrodziej mniema?.

— To kolega dowodzi..

— Jako wypada...

— A naturalnie!..

— Kolega ma na myśli napisanie?..

— A tak!.. ułożenie recepty...

Po całogodzinnej debacie, nie zgodziwszy się na istotę słabości, zgodzili się przecie na napisanie recepty, aby darmo nie brać zapłaty. Zacni i szanowni ludzie... Nie jestże to istne szyderstwo!.. najokropniejszy sarkazm wtorujący ostatnim konającego chrapliwym stękaniom.

I już obydwa krząknęli i tabaczki z lubością powolną zażyli, i nos poważnie utarli, a przedewszystkiem uśmiechnęli się z widocznem zadowoleniem. Bo się dla obydwóch otwiera pole do wystąpienia z uczonością swoją, i obydwa cieszą się, że podając najrzadsze medykamenta będą z jednej strony walczyć między sobą o pierwszeństwo w jenialnem komponowaniu receptowem, a z drugiej strony przysporzą nieco grosza znanym i zaprzyjaźnionym z niemi aptekarzom, związanym solidarnością interesu.

A chory przez ten czas niech cierpi, niech umiera! co tam jakaś pojedyncza figura umierająca — choćby od jej życia zależał los całej rodziny— znaczy naprzeciw ważniejszemu nad wszystko przeparciu własnego zdania. Ileż to razy zdarzy się w rzeczy samej, że chory nie może się doczekać tej recepty ex consilio układanej, i ostatnie tchnienie wydaje przy ostatniem ciężko uradzonem recepty słowie.

Lecz nagle spojrzeli na siebie z pod oka wzrokiem zaczajonego lisa.

— Chociaż!.. przemówił chudy i mruknął niepostrzeżenie prawem okiem.

— Kolega mówi... zaczął gruby i mrugnął także pokryjomu okiem lewem.

— Właściwie kolega jest zdania...

— Dzieląc zdanie kolegi!..

Tu spojrzeli na siebie jednym tylko wzrokiem skoś-

nym, ale już się zrozumieli jak koniarze na jarmarku, jak szulery przy zielonym stoliku.

— Że niby?...

— A tak niby..

— Szkoda!.. szepnął jeden.

— Czasu i atłasu!. doszepnął drugi.

— Na śmierć nie ma lekarstwa.

— Czy tak, czy siak, umrzeć musi.

Uśmiechnęli się i z zadowoleniem jeden drugiemu podsunął pod nos tabakierę.

— Za godzin parę umrzeć musi!.. powtórzyli razem oba, szczerząc zęby z wielkiej uciechy, nad objętością własnego rozumu.

W tej chwili ozwał się krzyk na pół przytłumiony; krzyk kobiecy. Tuż za niemi stała postać kobiety bladej, z wyrazem rozpaczliwym na twarzy. Wszedłszy cicho, usłyszała te ostatnie słowa eskulapów tak zimno wymówione, a tak boleśnie przeszywające jej serce.

Zanim jeszcze krzyk ten przytłumiony rozległ się po pokoju, chory zadrgał cały. On może przeczuł wejście bladej kobiety. I oczy jego jeszcze żywszym promieniem strzeliły ku drzwiom wchodowym. Dziwna przemiana nastąpiła na całej chorego twarzy, na której osiadł wyraz tak silnej i energicznej woli, jaka się tylko odznaczać mogła w dniach pełnego zdrowia; a na usta wybiegł uśmiech tak szczery i serdeczny, jakby w dniach życia najlepszych. Zdało się zaprawdę, że on siłą swej woli zdusił słabość na chwilę, i powstrzymał ulatującą mu nad czołem śmierć, aby choć przez jednę krótką chwilkę ostatniem odżyć użyciem; dawne wyczarować uczucie.

Blada kobieta przyskoczyła do łóżka — wstrzymując łzy, co się do oczu cisnęły, i by ukryć rozpaczliwe rozrzewnienie, padła na kolana przy łóżku, i chorego rękę przycisnęła do ust swoich.

— Kochany kapitanie!.. wyjękła.

— Madelino!.. pani droga!.. raczyłaś mnie odwiedzić!.. odrzekł chory głosem nie tyle słabym, ile rozmiękczonym czułością, co mu się z piersi do ust i oczów cisnęła.

Przycisk mowy umierającego był tak czuły, że Madelina już dłużej wytrzymać nie mogła. Łzy puściły się z oczu, i padały na zimną rękę chorego gorącym strumieniem.

— Kapitanie kochany!.. ty nie umrzesz, łkając przemówiła Madelina. *(C. d. n.)*

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Od tygodnia przeszło teatr bywa ciągle przepełniony publicznością nową zupełnie. Sami mężczyźni, sama młodzież dziarska, to też dzieje się tam gwarnie i tłumnie, i trochę zanadto po obozowemu. Rozumiemy bardzo dobrze ten—nadmiar niejako— życia i zapału, jaki się odzywa w młodzieży nagromadzonej w takich chwilach i przez takie okoliczności, ale z drugiej strony mniemamy, że właśnie powody tego nagromadzenia powinnyby jej nadać nastrój nieco poważniejszy. My, co siebie znamy wzajem, co znamy nasze prawdziwe zalety i mało szkodliwe wady, rozumiemy doskonale te wybuchy pełnego życia, i cieszymy się, że część wolnego czasu poświęca młodzież odwiedzaniu sceny ojczystej, ale w teatrze bywają i obcy nam ludzie, którzy pewnie na złe nam wytłumaczą każdą najmniejszą drobnostkę; i dla nich to miarkować się godzi. Głównie zaś dyrekcyi teatru—zda się nam— jest teraz obowiązkiem, wyborem sztuk stósować się o ile możności i do chwili bieżącej i do teraźniejszej publiczności. O ile dyrekcya odpowiada temu obowiązkowi, zobaczymy w tem przed świętami ostatniem sprawozdaniu naszem.

Szereg przedstawień tego tygodnia rozpoczęły *Krakowiaki.* (Część druga). Jest to sztuka odwieczna, ale i wieczną ją nazwać można w repertoarzu każdym polskim, bo to sztuka narodowa, bo każda w niej śpiewka, każda śpiewki nuta trafić zawsze musi do serc naszych. Nuty nasze ojczyste nigdy się nie prześpiewają, nigdy nie zestarzeją. Oddana była z wielkiem życiem przez artystów naszych (Krakowiaków mogłoby być więcej); p. *Benda* jest zawsze doskonałym, prawdziwym Krakowiakiem. Odznaczyli się także pani *Krajewska*, nieoszacowana i niezmordowana w tem artystka, że tak ogromny zakres ról mając najrozmaitszych, oddaje je wszystkie nietylko z talentem, ale i z sumiennością, i p. *Wisłocki*, który oddał organistę z wielkim humorem.

Po dwumiesięcznej przerwie wystąpiła znowu w *Grazielli* pna *Marya Łapińska*, o której zapomnieliśmy już wcale, mniemając, że przestała być członkiem tow. Krak. Wyznamy szczerze, że tyle właśnie zarobiliśmy na tem, że na nowo grać zaczęła, ile straciliśmy, że już była przestała. Co do samej sztuki Graziella, jest to romantyczno-sentymentalno-muzykalnotkliwy utworek dramatyczny, dosyć zresztą ckliwy, który o tyle utrzymać się może, o ile Graziellę już z nazwiska swego pełną gracyi odda znakomita talentem artystka, i usposobiona już do tego przez samą przyrodę. Dramacik ten autorowie francuscy, (jest ich aż dwóch), utworzyli jakoby studium dla pierwszorzędnej artystki, któraby potrafiła oddać dziewczynę z ludu, pełną uroku i czucia, która kocha się w młodym człowieku wyższym od niej przez swe społeczne stanowisko i czuciem swem wyższem i przenikliwszem, czuciem poezyi wrodzonem niejako, gdy pojmuje, że swą miłością i sercem nie wystarczy wymaganiom tego świata wyższego, zrzeka się miłości i szczęścia, ale zarazem serce pęka z żalu, i biedne dziecko umiera od jednego ciosu. Nie pojmujemy, jak taką rolę mogła wziąść na siebie pna *Łapińska.* Już przyroda wszyst-

kiego jej odmówiła do tej roli; jest za wysoka i za chuda, by mogła mieć gracyą takiej Grazielli. Do tego, co już dawniej mówiliśmy, jej deklamacya wpadająca w ckliwy i monotonny pathos, sztywne ruchy, organ bezdźwięczny i dosyć cichy, nie uzdalniają jej wcale do wyższego zawodu dramatycznego. Graziella, jako sztuka i tak z trudnością utrzymać się może na scenie, a Pna *Łapińska* potrafiła ją tylko prędzej z repertoaru wypędzić. To też ledwie końca długiego jej konania mogliśmy się doczekać. Pna *Germann* swoją małą i nic nieznaczącą rolę przyjaciołki odegrała niezawodnie najlepiej, i z wdziękiem nawet.

Na wynadgrodzenie, dano nam tego samego wieczora *Okrężne*. I było prawdziwe wynagrodzenie, bo też z przyjemnością szczerą słuchaliśmy tej komedyjki dawnej, ale zawsze wesołej, zawsze naszej. I szczerze powiedzieć potrzeba, że z małemi wyjątkami odegraną była przez wszystkich z wielkiem życiem, z prawdziwym humorem. Dwie główne role mianowicie, były w najlepszym ręku. Pna *Biedrońska* w roli córki jak zwykle była pełna naturalności i serdeczności, które stanowią najpiękniejszą a sympatyczną stronę jej talentu. Przebrana za wieśniaczkę, zachowała doskonale oba charaktery i panienki i wieśniaczki, ujmując prostotą wiejską, zalotną pustotą, która też mnogie wywołała oklaski. Pna *Safir* rolę wesołej *Klary* odegrała wybornie. Była w niej prawdziwem dzieckiem naszych dworów polskich, wesołem aż do pustoty, a z główką wcale na swojem miejscu. Rola ta należy może do jej ról najlepszych, i dlaczego tak jest?.. mamy ochotę szczerze wypowiedzieć. Bo w tej roli nie ma miejsca na zalotność, której przesadą grzeszy często pna Safir. Wspomnieć jeszcze należy się grę pni *Krajewskiej*, i pp. *Wisłockiego Dębickiego* i *Krajewskiego*. Na tem radzibyśmy skończyć, lecz sumienna recenzya wkłada pewne choć czasem przykre obowiązki. Owóż musimy wymówić koniecznie Pnu *Wolskiemu* nieumienie roli najzupełniejsze, które jeżeli chybia publiczności, to więcej jeszcze samemu artyście, poniewierającemu przez to swe piękne zdolności. Oddając tyle razy sprawiedliwość jego talentowi, mamy zda się prawo zrobić mu ten zarzut z całą szczerością, i przekonani jesteśmy, że sam przyzna nam słuszność. Nie mówilibyśmy nawet o tem, gdyby się to samo nie powtarzało częściej.

Na dochód P. *Delchau* odegrano *Podstęp pana kapitana* i *Bojomir i Wanda*. Co do pierwszej komedyi nie możemy przemilczyć powszechnego niesmaku, jaki wywrzeć musi wybór takiej starzyzny ogranej już aż do znudzenia. Wymówkę tę nie zwracamy do beneficyanta, bo wiemy, że w tutejszym teatrze nie ma obyczaju przyjętego po innych teatrach, by beneficyant sam sobie sztukę wybierał; tu wybiera dyrekcya. *Podstęp kapitana* może być nie złą sztuką, może być nawet miłą tym artystom (p. *Królikowski* i pna *Safir*) którzy widzą w niej role popisowe, i rzeczywiście bardzo dobrze je oddają; ale jest to komedya tak ograna, przeznaczona wiecznie łatać wszystkie przedstawienia przy koncertach itd., że w końcu znudzić musi, i w rzeczy samej nudzi okropnie. Zresztą jestto koncept nie nasz, istnie francuski, sowicie płaski i naciągnięty, którym publiczności teraźniejszej karmić się nie godzi. Jeżeli niema swoich, to przecież są i cudze nie złe komedye, i jest ich nie mało, jak np. *Łzy kobiece*, *Uściskajmy się* i mnóstwo innych. Im więcej publiczność uczęszcza, tem dyrekcya powinna być troskliwszą przy wyborze sztuk. *Bojomir i Wanda* jest to dawna operetka, ale zawsze mile się słucha dla nut i myśli polskich, i dla muzyki wcale ładnej choć starej. O śpiewaniu lepiej podobno przemilczeć, przyznać wszakże po słuszności potrzeba, że pni Bendowa śpiewała wcale dobrze.

Zemsta Fredry, jest to wybór ze strony dyrekcyi, który tylko pochwalić można. Odegrano ją jak zwyczajnie z wielką starannością. *Papkina* p. *Delchau* trochę przesadzał, ale z tem wszystkiem grał wcale dobrze i podobał się powszechnie. Pannie *Safir* śmiemy raz jeszcze przypomnieć, by pamiętała o nieco skromniejszym stroju. Polska dziewczyna, gdyby wystąpiła tak wygorsowana i z takiem mnóstwem świecidełek na piersiach, toby się jej rodzice wyrzekli, a Raptusiewicz taką siostrzenicę byłby niezawodnie obił.

Na ostatnie przedświąteczne przedstawienie dano nareszcie: *Lwy i Lwice i Łobzowianie*. O Łobzowianach nic nie powiemy choć to komedya znana, ale zawsze wesoła, zawsze narodowa. Wybór tej sztuki za dobry uważamy. Ale przeciw Lwom i Lwicom protestujemy najuroczyściej w imieniu obyczajów, w imieniu dobrego gustu, w imieniu naszego wreszcie społeczeństwa, a mianowicie niewiast naszych polskich, którym dyrekcya krzywdę czyni, dając w dzisiejszych czasach do przedstawienia takie haniebne karykatury. Mogły być czasy chwilowej aberacyi, pewnych najlichszych cząstek społeczeństwa naszego, w których taka sroga chłosta, choć zawsze nieprzyzwoita, bo godna nie desek teatralnych, ale jakichśiś przybytków bez poczciwego nazwiska uchodzić mogła. Ale dzisiaj i już oddawna nasze poczciwe Polki tak wysoko stoją zaletami swemi w społeczeństwie, że wydobywać dziś takie brudy na nie, jest prawdziwą hańbą sceny narodowej, jest oburzającem uchybieniem naszym matkom siostrom i córkom!.. Ani nawet o grze artystek przymuszonych gadać niecne, dwuznaczniki mówić będziemy, bo nie chcemy im tej krzywdy czynić, by mogły podobne role grać dobrze.

Do dzisiejszego Numeru dołącza się rycinę mód paryskich, dla prenumerujących się na nie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza.